

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy“

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

23

Moreau pochylił się — zapewne nad stołem — wziął w rękę jakieś papiery, czy listy, które czytał dosyć długo. Później światło zagasło w jednym oknie, a zabłysło w drugim. Piotr Moreau musiał przejść do przyległego pokoju, który był pewnie sypialnią, bo Gewolski widział, jak czynił wszystkie ruchy człowieka myjącego się. Następnie długą chwilę pozostał w postawie nieruchomej, z brodą wspartą na dłoni, wkońcu wyprostował całą swoją potężną figurę ruchem człowieka gotującego się do walki, sięgnął ręką do kieszeni i wyjął z niej jakiś niewielki przedmiot, którym ostrożnie poruszał.

— Rewolwer! — syknął Gewolski.

Przedmiot ten po chwili włożył do tylnej kieszeni spodni.

— Może ma zamiar wyjść jeszcze? Nie kładzie się rewolweru do kieszeni, jeżeli się chce pozostać w domu!

Piotr Moreau teraz wkładał na siebie długi i szeroki płaszcz, którego kołnierz podniósł starannie, zamiast zwykłego kapelusza o szerokim rondzie, kładł czapkę futrzaną z kłapami na uszy! Wybierał się więc na nocną wycieczkę...

— Może chce się już wiedzieć ze mną? — myślał Gewolski, który niecierpliwie śledził wszystkie ruchy przeciwnika. — Chce się ze mną rozprawić przed obudzeniem się Stanisława! Dobrze, pogadamy!

Do Notre Dame des Champs droga dosyć daleka i zazwyczaj pusta!...

W kilka minut później Piotr Moreau wychodził z kamienicy, uzbrojony jeszcze w gruby kij okuty. Ale nie szedł w stronę Paryża, przeciwnie przeszedł ulicę la Fayette, dworzec północny i zagłębił się w ulicę Niemiecką.

— Gdzież on idzie? Czyżby był na tyle odważny, czy nieostrożny?

Laboratorium doktora Gewolskiego znajdowało się za Paryżem, wśród pól dzikich i opustoszałych fabryk, z których o tej porze nie dochodził szmer żaden. Teren stosowny do zbrodni!

— Aha! mój przyjacielu! — syknął Gewolski. — Miałeś pozostać w domu i odrabiać jakąś zaległą robotę? Namyśleć się!... Nie zadałeś sobie tego trudu, tylko śmiesz iść szpiegować mnie do mojego własnego domu! Ostrożnym jednak jesteś. Nie wzięłeś ani powozu, ani samochodu, którego szofer mógłby cię jutro zdradzić! Zmęczysz się, pocziwcze, bo daleka droga cię czeka!

Gewolski, przeciwnie, postanowił ochraniać swoje siły. Wziął fiakra i kazał się wieźć do bramy Niemieckiej, nie tracąc oka z Piotra Moreau. W połowie drogi zmienił fiakra. Przy bramie wysiadł i z wąskiej ścieżki, okalającej fortyfikacje, śledził przeciwnika, który zdawał się nie domyślać niczego, gdyż szedł równym krokiem, podśpiewując ciągle wesoło. Szpiegowanie już teraz było bardziej utrudnione, bo Piotr Moreau przed skręceniem na lewo wydrapał się na wał, rozglądając się po okolicy. Gewolski położył się na ziemi i z za brzegu urwiska patrzył dalej. Piotr Moreau zapalił fajkę; mógł więc przy świetle zapalki dostrzec jego twarz dobrodusnie uśmiechniętą.

Gdy Moreau ruszył dalej, Gewolski w odległości paruset metrów podążał cierpliwie za nim; jeżeli Moreau się zatrzymał i badał okolicę, doktor w tej chwili kładł się na ziemię. Około godziny czwartej obaj przeciwnicy znaleźli się wśród zabudowań fabrycznych, niedaleko pawilonu, w którym mieściło się laboratorium. Gewolski już teraz całkiem był pewnym, że Moreau udaje się do niego. Było to bardzo po jego myśli. Ofiara sama szła mu w ręce, bo tam, u siebie, Gewolski mógł uczynić z nią, co zechce!

— Jednakże — myślał doktor — nędznik ten jest bardzo odważny! Zapomniał tylko, że w naszym wieku odwaga już nie zda się na nic! Dochodzi się do zwycięstwa tylko przez spryt i ostrożność! Przerachowałeś się, pocziwcze! Teraz, gdy wiedział już o zamiarze przeciwnika, nie spieszył się z wykonaniem zemsty. Ukrył się w rowie, przekonany, że Moreau obejdzie wokół pawilonu, szukając najlepszego miejsca. W pewnej chwili nawet Moreau przeszedł obok niego w odległości dziesięciu kroków i upewniwszy się, że niema nikogo w pobliżu, rozsunął

gałęzie zasłaniające parkan i przeskoczył. Gewolski uczynił to samo, lecz z przeciwnej strony i zatrzymał się w gąszczu.

Piotr Moreau podszedł pod ściany pawilonu i uczepiwszy się ramy okna, zajrzał do środka. Później powoli raz jeszcze okrążył pawilon i zatrzymał się przy małych drzwiach drewnianych, wychodzących na pola...

— Ten idyota Antoni śpi jak suseł! — szepnął Gewolski.

Rzeczywiście Antoni musiał spać doskonale, bo nie nie poruszyło się w pawilonie na odgłos szmeru wzrastającego przy małych drzwiach. Piotr Moreau najspokojniej w świetle pileczką, wyjętą z kieszeni, przepiłowywał drzewo.

— Głupiec! — zaśmiał się ironicznie Gewolski. — Sam dobrowolnie staje się moim więźniem!

Szmer ten trwał kilkanaście minut. Potem Gewolski dostrzegł blade światelko w oknie pawilonu. Moreau już tam gospodarował, jak u siebie. Wtedy podsunął się pod okna laboratorium. Były zasłonięte tak, jak okna domku w Sanhiois, lecz jak i tam, Gewolski znalazł szparę, przez którą mógł obserwować, tembardziej, że tu nie było firanek!

Gewolskiemu powracał dobry humor!

— Ciągłe to samo! Obecny fach mój nie daje mi żadnego urozmaicenia — dowcipkował. Podsluchiwanie rozmów, wypatrywanie sobie oczów przez szczeliny! — I nawet ułatwiają mi tę czynność!

Piotr Moreau bowiem, który dotąd posługiwał się małą lampką kieszonkową, odnalazł przewód elektryczny, rozświetlił całe laboratorium i szedł prosto ku szafeczce, na której znajdowały się słoiki z różnymi medycznymi płynami.

— Otóż to! — szeptał Gewolski. — Natura ciągnie wilka do lasu! Chcę znaleźć przetworzony przezemnie preparat mikrobów „choroby śpiączki“ i mieć jeszcze jeden dowód przeciwko mnie! Szkoda, że nie możemy się już porozumieć! Zdolny był i moglibyśmy przy wspólnej pomocy dojść daleko! Ale poco wdaje się w nieswoje sprawy! Chciał mi dokuczyć, tymczasem ja mu dam ostatnią pamiątkę!

Okoliczności przedziwne się składały dla Gewolskiego. Przyszedłszy w nocy do laboratorium, zastał w nim rzeźmieszką plądrującego w najlepszym. Czy miał pozwolić mu się okraść lub zabić? Działal tylko w obronie własnej. Tłumaczenie to będzie doskonale w razie potrzeby! A zresztą przecież Sekwana płynie o kilka kroków! Ale w chwili, gdy ten plan ostatni rodził się w umyśle Gewolskiego, rozległo się donośne dzwonięcie telefonu, które zupełnie wytrąciło go z równowagi!

Widział bowiem, jak z całym spokojem Moreau podszedł do aparatu!...

Tego już było za dużo! Odwaga dawnego towarzysza przemieniała się w wyzywającą beczelność! Chciał przejąć rozmowę i dowiedzieć się czegoś ciekawego o nim! pochwycić jaką tajemniczą wiadomość!

Kto mógł telefonować o tej porze! Stanisław? Albo prędzej książę Kiwani!

— O nie mój kochany! Ty tego słyszeć nie będziesz!...

Moreau podnosił już słuchawkę do uszu, gdy rozległ się donośny głos doktora:

— Antoni! Antoni! Kanalia jedna! Co się z tobą dzieje!?

Wchodząc do pawilonu, kilkakrotnie silnie uderzał w rampę schodów, prowadzących do pokoiku służącego.

— Jakże możesz spać przy takim hałasie! — Nie słyszysz dzwonięcia telefonu!

— Zaraz, zaraz idę! — dał się słyszeć zaspany głos Antoniego.

— Ubierz się chociaż idyoto! Ja się już załatwię z telefonem! A spiesz się.

Wchodząc do laboratorium Gewolski był przekonany, że Piotr Moreau zdołał sobie już wynaleźć kryjówkę! W pokoju było ciemno...

Gewolski rozświetlił elektrykę i na pierwszy rzut oka nie dostrzegł nic nadzwyczajnego! Jeden tylko szczegół zwrócił jego uwagę! Portyera odgrazająca jeden kąt laboratorium drżała lekko!... Piotr Moreau tam był, nie było wątpliwości! Ale w jakich zamiarach przyszedł on tu! Nie w złych widocznie, bo mógł już w pierwszej chwili skorzystać ze sposobności i położyć go trupem na ziemię wystrzałem z rewolweru!

— Głupiec jestem — pomyślał Gewolski. — Podsluchana rozmowa jego ze Stanisławem daje mi wszelkie gwarancje bezpieczeństwa!

I spokojnie ujął słuchawkę w rękę...

— Tak... tak!... nie... niepopsuty — dzwonił niemożliwie — tylko ten bałwan, mój służący, spał jak zabity — a ja dopiero co wróciłem...

— Wzywają pana z Neuilly!

Gewolski zadrżał na myśl, że Piotr Moreau będzie świadkiem rozmowy jego z księciem.

— O co chodzi?

— Już dziesięć razy dzwoniłem do ciebie, doktorze!?

— Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość.

— I do mieszkania... i do laboratorium... Z mieszkania przynajmniej mi odpowiedzieli. Nie masz więc pan służącego, który sypia w laboratorium?

— Widocznie musiał się dobrze zabawić wieczorem, bo nie mogłem się go dobudzić! Ale już jestem na rozkazy Waszej Wysokości!

— Chodzi mi o tych dwóch fakirów, którzy mieli być u pana dziś rano!

— Oczekuję ich.

— Rozkaz mój został cofnięty! Nie mogę teraz powiedzieć panu dla jakich powodów! Oczekuję pana jaknajspieszniej dziś rano!

— A towarzystwo kolejowe, które miało się podjąć przewozu trumny lakowej?

— Odpraw pan wóz. — Zapłaci się im odszkodowanie. Z tem załatwię się łatwo!

— Czy są jakie komplikacje?

— Nie mówmy już o tem — powiedz mi doktorze, jak sprawa stoi z wiadomym człowiekiem?

— Pozwól mi Wasza Wysokość zachować chwilową dyskrecję, tak jak to książę czynisz ze swoimi indyjskimi świętymi. Nie mogę o tem mówić przez telefon. Mogę tylko księcia upewnić, że rozkazy jego wypełnione prawie zostały.

— Przybywaj więc prędko, kochany doktorze, powiedz mi resztę! — Nie będę miał chwili spokoju, aż się dowiem, że ten nędznik już jest nieszkodliwy!

— Niechże więc książę spoczywa w zupełnym spokoju. Wiadomości są jaknajlepsze, zapewniam.

I w obawie, żeby książę nie zdradził się jakimś słowem, Gewolski szybko przerwał komunikację.

W tej samej chwili wszedł do pracowni Antoni, z zapuchniętymi od snu oczami, nawpół ubrany.

— Jestem zrozpaczony, panie doktorze — rzekł płacząco. — Ale dlaczego też nie uprzedził mnie pan o swojej bytności?

— Cóż to znów? Czyż nie mam prawa wchodzić do siebie, kiedy mi się podoba? A może wy-magasz, abym aparat telefoniczny kazał przenieść do twojego pokoju?

— Bo to panie doktorze... ja nic nie rozumiem doprawdy. Zamknąłem przecież wszystkie drzwi i zasunąłem sztabę w drzwiach laboratorium...

— Zdaje się — odrzekł Gewolski surowo — że gorzej zamknąłeś małe drzwi, wychodzące na ogród, bo wystarczyło mi je popchnąć lekko, żeby się natychmiast otworzyły.

Antoni spuścił głowę w przeświadczeniu swojej winy i chciał sam iść się przekonać. Ale Gewolski nie pozwolił mu na to.

— Idź, ubierz się natychmiast. Włóż płaszcz, czapkę, pojedziesz na dworzec lyoński.

— Na lyoński dworzec, panie doktorze? z trumną lakową? Przecież mieli po nią przybyć dziś rano!

— Ośmielasz się być mi nieposłusznym, ty bałwanie!

— Bo to ja nie rozumiem, dlaczego pan doktor nie dzwonił do głównej bramy? Dzwonek przecież umieszczony jest nad moim łóżkiem!

— Dzwoniłem, ciężki idyoto! a że nie słyszałeś, przeskoczyłem przez parkan i waliłem do małych drzwi! I sam otworzyłem je! rozumiesz? A teraz spiesz się! Trumna lakowa już nie pojedzie. Właśnie książę doniósł mi o tem!

— To ci dwaj czarownicy już dziś nie przybędą?

— Nudzisz mnie temi głupimi pytaniami. Nie, nie przybędą!

— A dlaczego?

— Nie wiem. Dosyć, że wóz jest już niepotrzebny, rozumiesz. Trzeba go odwołać. Zrób mi tę przyjemność i zabieraj się stąd czempredzej, abys na czas uprzedził towarzystwo!

— A jeżeli pan doktor będzie mnie potrzebował?

— To nie twoja głowa w tem. Nie potrzebujesz wracać przed godziną dziewiątą, pamiętaj! A teraz wynoś się prędko!

Przed chwilą myślał Gewolski o służącym, jak o możliwym sprzymierzeńcu, ale skoro nadawała się dobra sposobność usunięcia go, można z niej było skorzystać, tembardziej, że przypadek nasuwał mu niespodziewaną pomoc!

Trumną lakową!

Pomyślał był o niej i Piotr Moreau; podczas rozmowy Gewolskiego z Antonim, lękając się, iż zostanie wkońcu odkryty, wsunął się do niej, ostrożnie przymykając wieko...

Gdy Gewolski powrócił do laboratorium i lekko odsunął firankę, powitał go znajomy widok przyrzą-